№ 4.

Warszawa, dnia 24 Stycznia 1863 r. — 12 Stycznia.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WSPOMNIENIA SŁAWNYCH POLEK.

5.

MARJANNA JABŁONOWSKA

HETMANOWA WIELKA KORONNA.

W czasach wielkich wojen w Polsce przyszła na świat państwu Kazanowskim córeczka imieniem Marjanna; urodziła się w miasteczku Podkamieniu, położoném o siedem mil od Lwowa, w zamku warownym, wystawionym jeszcze za Zygmunta I na obronę granic od strony napastniczéj hordy Tatarów. Zamek ten, piętrzący się na wzgórzu z swemi czerwonemi basztami, oblewało jedno ramię rzeczki Świerz, czyniąc go jeszcze więcéj niedostępnym dla wroga. Właśnie co tylko rok skończyła Marychna, gdy krwawe łuny na niebie zapowiedziały zbliżenie się tatarskiéj dziczy; lud bezbronny z okolic cisnął się pod opiekę warownych murów zamku. Śród ogólnego popłochu zajechała i pani Kazanowska z swym dworem przed bramę; lecz jakież zdziwienie i przestrach ogarnęły stroskaną matkę, gdy nie ujrzała swéj córeczki, która, jak ktoś z dworzan mylnie ją zapewnił poprzednio, z kobietami w następnéj miała jechać kolasie. Płacz i zamieszanie było ogólne, bo Tatarzy plądrowali już blizko, a każdy wiedział aż nadto, jak te dzikie syny nie przepuszczały ani płci, ani wiekowi.

— Bracia! — przemówiła zbolała matka do kilku młodych dworzan, — kto mi przywiezie zdrowo moją Marysię, ten ją za czasem za żonę dostanie.

Po tych słowach wystąpił naprzód poczciwego serca jakiś szlachetka, i uzbroiwszy się znakiem krzyża świętego, przemówił:

— Przy bożéj pomocy i mojéj szabli, albo przyniosę cało dzieweczkę, olbo zginę w jéj obronie.

Téj saméj jeszcze nocy poczciwy dworzanin przywiózł bezpiecznie córkę radosnéj matce, wyminąwszy zręcznie rozlaną szeroko hordę tatarską, która nie dotarła jeszcze do Kazanowskich dworca.

Rosła mała Marysia, wychowywana troskliwie przez matkę, a gdy już świadomszém okiem po świecie wodziła, powiedziano jéj o obietnicy, jaką niegdyś uczyniła matka jéj wybawcy. Lubo dworzanin ten stosunkowo znacznie od niéj był starszym, mawiała:

— Ślub matki mojéj jest świętym obowiązkiem dla mnie, i to tém więcéj, że wybawcy swojemu powtórne winnam życie; stanie się więc zadość zrządzeniu temu.

W kilka lat potém, Stanisław Jabłonowski, późniejszy wojewoda ruski i hetman wielki koronny, zasłyszawszy o wdziękach i pięknych przymiotach piętnastoletniéj panny Kazanowskiéj, poczynił usilne starania, by jéj rękę otrzymał. Zewsząd ją téż namawiać zaczęto do skłonienia się ku temu zamiarowi, ale ona upierała się dopóty, aż ów jéj wybawca, poczciwy szlachcic, sam ją prosbami swemi zwolnił od dotrzymania mu obietnicy. Ojciec jéj, wojewoda bracławski, i żona jego, przyjęli chętnie oświadczyny Jabłonowskiego, młodego bohatera, który już podówczas, w czasie oblężenia przez Szwedów Krakowa, odznaczył się świetnie, i z zamku królewskiego zabrawszy skarby i ozdoby królewskie, w kilkadziesiąt koni przedarł się przez nieprzyjaciół i złożył je w Częstochowie.

Był to zresztą młodzian dorodny, otwartego oblicza, a co najważniejsza, wzrosły w cnotach obywatelskich i nauce, którą pobierał w akademjach krakowskiéj i pragskiéj.

Męztwo, cnota i sława—to najpewniejsze swaty starającego się o pannę młodzieńca; więc i młoda Marja chętnie serce i rękę walecznemu oddała. Ówczesne potrzeby kraju wywoływały często jéj małżonka na pola bitew; walczył on, i jak drugi Czarniecki, współczesny mu, okrywał się wieńcami sławy pod Beresteczkiem i pod Batowem w bojach z Kozactwem, w wyprawie przeciw Siedmiogrodzkiemu Rakoczemu, i w mnogich bitwach przeciwko Tatarom i sąsiednim nieprzyjaciołom. Gdy tak niósł krew swoją na ołtarz ofiary ojczystéj, żona tymczasem wychowywała dziatki swoje w cnotach chrześcijańskich, przyjmując chętnie pod skrzydła swéj opiekuńczéj troskliwości opuszczone sierotki, o które się skrzętnie dowiadywała, i udzielając im stosowne wychowanie, obdarzała je posagami, gdy wchodziły w związki małżeńskie. Nie było dnia przytém, w którymby nędzarz datku nie odebrał z jéj ręki. W dobrach swoich doglądała starannie szpitali włościańskich, a mając w pamięci z dziecinnych lat swoich zdarzenie, przeznaczała wielkie summy na oswobodzenie więźniów z tatarskiego i tureckiego jassyru. Tak dalece ją szczęście ludzkości i braterstwo rodaków obchodziło, iż gdy się dowiedziała, że kto z jéj sąsiadów żyje w niezgodzie, dopóty się nie uspokoiła, dopóki nie pogodziła zwaśnione umysły i serca. Był to anioł stróż dla nędzarzy materjalnych i duchowych; a synkom swoim rada była powtarzać:

— Patrzcie! jak ojciec wasz wsiada na kark nieprzyjaciołom ojczyzny.

— Jak pojmowała potrzebę rozszerzania oświaty, widziemy ztąd, że wiele pieniędzy łożyła na drukowanie książek użytecznych, a między niemi bardzo wielu nabożnych. W skromnych chodziła hetmanowa ubiorach, w najustronniejszym zakątku kościoła codziennie raniutko słuchała mszy świętéj; dnie przeplatała zajmowaniem się sierotami, ubogiemi i nieszczęśliwemi; wolnemi chwilami robotom ręcznym oddawała się chętnie.

Cóż to za przykład dla tych panienek naszych, które z założonemi rękami, patrząc na mozoły niebogatych rodziców swoich, gardzą pracami domowemi, uważając je za niegodne tych rączek, co to tylko po klawiszach i to z niechcenia suwać się rade. O! święta, poczciwa naturo prababek polskich!

Lecz wróćmy się do naszéj pani hetmanowéj. Bjografja mówi o niéj jeszcze: „Mowa téj pani była ostrożną i do zbudowania służącą; nie postało w jéj ustach słowo próżne, a dopieroż nieprawdziwe! O ludzkich wadach, choć jawnych, nigdy mówić nie chciała, a gdy kto inny tę materję zaczął, wyraźnie pokazywała, że jéj to niemiło było.“ Widziemy więc, że interesowanie się cudzemi sprawkami i ułomnościami, za najnieużyteczniejsze do udoskonalenia swego uważała ta pani. Gdy jéj się zdarzyło jakie niespodziewane zmartwienie, to modlitwy, msze i łzy cichéj, pokornéj prosby do Boga, najskuteczniejszą stawały się osłodą; od zbytków nie tylko w stroju, lecz i w pokarmach stroniła, a im jaki pokarm więcéj lubiła, tém więcéj wstrzymywała się odeń, by wyrobić w sobie moc duszy tak każdemu potrzebną. W wielki piątek wybierała się zazwyczaj z poufalszemi do grobu Chrystusowego boso, z krzyżem na ramieniu, by uprzytomnić sobie cierpienia Zbawcy naszego.

Gdy mąż jéj oddawał się sprawom publicznym, ona, wyręczając go, chroniła poddanych licznych dóbr swoich od krzywd i uciemiężenia przełożonych. Oboje zbierali laury: hetman, najwierniejszy towarzysz Jana Sobieskiego pod Chocimem, Lwowem, Żórawnem i Wiedniem, dzielił chwałę jego, a pod Parkanami przytomnością swą go zbawił; ona miłosierdziem i poświęceniem swojém dopełniała zakres obszerniejszych działań małżonka. Oboje z różnych na oko dróg swoich schodzili się na gościńcu miłości Boga i ojczyzny: domowe ich pożycie było uroczystém świętem zgody w rodzinie. Zawsze słodka, kochająca i pobożna, uczynkami zaprawionemi modlitwą, za przyzwoleniem dobrego małżonka wzniosła kościół w Janowie, a mąż na jéj pamiątkę drugi we wsi Tradze dla

Dominikanów zbudował. Gdy następnie Jabłonowski, podówczas jeszcze wojewoda, na potrzebę ojczyzny zmuszony był zastawić dobra swoje, i gdy już na ten cel z własnéj szkatuły sześćdziesiąt tysięcy złotych czerwonych przeznaczył, ona, utrwalając go w szlachetném poświęceniu, mówiła:

— Dla wspólnéj matki ziemi najpierwsze są obowiązki!

Następnie modląc się za ogólną pomyślność, do najpotrzebniejszych wydatków swoich z trudnością się nakłaniała.

Gdy już w starości na siłach upadać poczęła, złożona chorobą prosiła o święte Sakramenta, i najmiléj rozmawiając jedynie o kochaniu Boga, o przyszłém życiu i szczęściu błogosławionych, w dniu wiecznego z ziemią rozstania przycisnęła do ust swych wizerunek Zbawiciela na krzyżu, pożegnała czule męża, dzieci i dwór cały, wymawiając ze spokojem na licach imiona: *Jezus* i *Marja*. Działo się to w obec najstarszego syna królewskiego Jakóba; matka jego, Marja Kazimira, odwiedzając ciało, ucałowała nogi czcigodnéj nieboszczki, któréj zwłoki z wielką okazałością odwieziono do Lwowa, gdzie w kościele jezuickim złożone zostały. Jak ślub niegdyś, tak i pogrzeb jéj był niesłychanie uroczysty, zaszczycony obecnością legata papiezkiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, i mowami dwóch naszych biskupów.

Mąż, przeżywszy ją o lat kilkanaście, zawsze wódz dzielny i Polak cnotliwy, gromił jeszcze nieprzyjaciół kraju. Za swoje zasługi otrzymał kolejno osiem starostw, godność wojewody ruskiego, a w końcu hetmana koronnego: lecz te dostojeństwa ani jego, ani też szlachetną matkę pięciorga dzieci bynajmniéj, jak widzieliśmy, nie podniosły w dumę.

J. Grajnert.

ANIOŁEK BOŻY

DO MATKI NA ZIEMI.

Skorom oczki zamknął
Skrzydła mi wyrosły,
I do Boga-Ojca
Dziecię twe zaniosły—

Między aniołkami
Pan Bóg mię postawił—
Spojrzał litościwie
I pobłogosławił...

Odtąd ja, mateczko,
Razem z aniołkami,
Bawię się i latam
Między gwiazdeczkami—

Gdy do nieba z ziemi
Jęk lub płacz doleci,
Pan Bóg nas aniołków
Śle do smutnych dzieci...

I w zranione serce
Anioł się zakrada—
O Nadziei, Wierze
Cierpiącemu gada.

Gdy się już pocieszy
Serce to zbolałe,
Znów aniołek wraca
Głosić Bożą chwałę...

A gdy do człowieka
Straszna śmierć się zbliży,
Na ratunek duszy
Leci anioł chyży—

Bierze duszę drżącą,
Tuli na swém łonie,
Niesie ją i składa
Tuż przy Bożym tronie...

I radości pełen
Woła anioł: „Boże!
Pozwól, niech duszyczkę
Na Twe łono złożę!..."

Gdy Bóg duszę przyjmie,
Gdy jéj błogosławi,
Każdy z nas aniołków
Cieszy się i bawi...

Byłoby tu, matko,
Wielkie szczęście moje,
Gdyby nie twa rozpacz,
Gdyby nie łzy twoje!...

Pan Bóg zagniewany
Smutkiem twym, żałobą,
Kazał mi w dzbanuszku
Łzy twe nosić z sobą...

Każda łezka twoja
Żadna nie przepada,
A ołowiem ciężkim
W mój dzbanuszek pada!

I łzy twoje, matko,
Ciężą mi nieznośnie—
Bo ty ciągle płaczesz,
A dzbanuszek rośnie!

Choć ci za mną tęskno,
Choć cię serce boli,
Gorzkie łzy i żałość
Oddaj Bożéj Woli...

Zlituj się, mateczko,
Zlituj nad dzieciną!

Za aniołkiem Bożym
Niech twe łzy nie płyną!...

Gdy po latach wielu
Pan Bóg cię powoła...
On po duszę twoją
Pośle mię anioła—

Twą duszyczkę drżącą,
Matko moja droga,
Wezmę i z mym skarbem
Stanę przed tron Boga...

Tam radości pełen,
Rzeknę: „Pozwól, Boże!
Niechaj duszę matki
Na Twe łono złożę!“

Pan Bóg miłosierny
Błogosławić będzie...
I umieści duszę
W swych wybranych rzędzie!

Odtąd matko razem
Będziem w pięknem niebie—
I twój synek-anioł
Zawsze koło ciebie!

Pociesz się najdroższa!
Nie płacz za dzieciną—
Za aniołkiem Bożym
Niech twe łzy nie płyną!

Józef Moroz.

---

* * *

Konkurs do nagrody złp. 4,000.

Pan Jan i Stanisław, hrabiowie Zamoyscy, wyznaczyli złp. 4,000 nagrody za rozprawę, mającą wykazać najskuteczniejsze środki ukrócenia pijaństwa, a zarazem zastąpienia koniecznego ztąd ubytku dochodów z gorzelni i propinacji. Pan Stawiski, redaktor Roczników gospadarstwa krajowego, zadanie to podając do publicznéj wiadomości, pomieścił zarazem program i warunki, jakim rozprawy odpowiadać powinny; że zaś prassa perjodyczna doniesienie to z głębokiém przyjęła milczeniem, niechże więc nam będzie wolno zrobić uwagę, do jakiéj każdy miłujący sprawę ojczystą, jest obowiązany.

Naturą wszelkich konkursów, jak wiadomo, jest zachęcenie do podjęcia pracy wpewnym kierunku, jak największéj liczby jednostek, żeby przedmiot pod rozbiór poddany, zbadany został o ile można najgruntowniéj i prawie wyczerpująco. Naturze téj konkursu odpowiadać powinny i warunki, jeżeli chcemy, aby konkurs wydał spodziewane owoce; więc układane powinny być tak, aby pracę o ile można ułatwiły, a nie utrudniły: żeby trzymając się głównego zadania, obejmowały tylko to, co go wyłącznie dotyczy, i co rzeczywiście posługuje do jego rozwinięcia. Tymczasem w przedstawionym programie przez p. St..., główne zadanie jest szóstém dopiero, jakby dodatkowo pomieszczoném, a poprzedza je pięć innych, których wypracowanie każdego po szczególe, już jest pracą i trudną i mozolną zarazem; cóż dopiero mówić o zbiorowém ich w jednéj rozprawie rozwinięciu? Nadto, zadania te, jakkolwiek zawsze tylko wódkę mają na celu, od głównego jednak: jak ukrócić pijaństwo i czém zastąpić ubytek dochodu z gorzelni i propinacji, niezmiernie pozostają zdala. Przeznaczającym bowiem fundusz na konkurs nie szło, jak wymagają tego warunki, o początek i stopniowy wzrost produkcji wódki w Polsce, oraz wpływ jéj i związek z gospodarstwem wiejskiém, ani o początek i naturę przepisów gorzelanych i prawa propinacyjnego za dawnéj Rzeczypospolitéj, i następnych ich przemian w różnych prowincjach, z krytyczném ocenieniem; ani o przepisy gorzelane i prawa propinacyjne w główniejszych państwach niemieckich, Belgji, Hollandji i Francji, z przedstawieniem skutków tych przepisów na trzeźwość i przemysł rolniczy; ani o zbadanie, jakieby były pożądane zmiany w obowiązujących dziś u nas przepisach gorzelanych i propinacyjnych; ani też o rys historyczny towarzystw wstrzemięźliwości w różnych krajach, sposób ich działania i ostateczny ich rezultat, ze wskazaniem rozwoju i skutków wstrzemięźliwości w naszym kraju, w pojedynczych jego okolicach, jak równie w miejscach polską ludnością osiadłych pod innemi rządami. Otóż Hr. Zamoyskim nie szło o to wszystko, tylko o rozprawę, mającą wykazać najskuteczniejsze środki ukrócenia pijaństwa, a zarazem zastąpienia koniecznego ztąd ubytku dochodów z gorzelni i propinacji.

Pan Stawiski jednak, mającym zamiar współubiegania się w pracy konkursowéj, każe z badaniami zapuszczać się w odległe dzieje naszéj przeszłości, śledzić prawa, nadania, konstytucje, wczytywać się w ogromne foljały zebranych już materjałów, porównywać je krytycznie i wydobywać wiadomości rozrzucone bez ładu i składu po różnych archiwach i bibljotekach. Po téj mozolnéj pracy, a dla mało osób przystępnéj, pragnący wystąpić do konkursu, musi objechać całe Niemcy, ledwie że nie wszystkie miasta, potém Belgję, Holandję, Francję, i wszędzie szperać, wywiadywać się, dochodzić, wczytywać i zbierać materjały; bo każdy przyzna, że pragnąc zbadać dokładnie kraje te

pod względem propinacyjnym, gorzelanym i wpływu towarzystw wstrzemięźliwości—to trzeba tam być na miejscu, posiedzieć wyłącznie w interesie konkursu, na co niekażdemu czas i fundusz pozwalają. Ani bowiem dzieła, ani gazety potrzebnych wiadomości nie dostarczą, a choćby je i obejmowały, zawsze im coś braknie, czego dopełnić może tylko własna na miejscu bytność. Ale jeszcze nie koniec; po mozolnych badaniach przeszłości naszéj i kosztownéj wycieczce w obce kraje, przyszły szermierz konkursowy musi objechać nie tylko Królestwo, ale Poznańskie i Galicję przynajmniéj, żeby poznać wpływ towarzystw wstrzemięźliwości w całym kraju, i jak się wyraża program, *w pojedynczych jego okolicach*. Bez tego bowiem dostatecznie rzeczy nie wybada; sprawozdań zaś publicznych prawie nie ma żadnych, a choćby i były, to tak są rozrzucone w pismach perjodycznych i pomieszane, że ani podobna dojść do nich, ani się dokopać.

Na to wszystko trzeba wiele czasu i pieniędzy, trzeba być jeżeli nie panem, to przynajmniéj człowiekiem zupełnie niezawisłym, oddanym nauce i pracy umysłowéj, a nie żadnym obowiązkom płatnym. Takich zaś bardzo mało w kraju, innym zaś brak czasu i pieniędzy współubiegać się nie pozwolą.

Pojmuję ja to dobrze, że przeszłość jest nauką przyszłości, że pogląd na pracę innych narodów, w zastosowaniu jéj do własnego kraju, zarówno jest koniecznym, jak korzystnym; że wszelkie rady i projekta, jakim chcielibyśmy poddać własne społeczeństwo, powinny być w związku z przeszłością narodu i z pracami podobnemi obcych społeczeństw; że skutkiem tego i rozprawa na zadanie wyznaczona przez konkurs, powinna przedstawione rozumowania usprawiedliwiać poglądem na przeszłość naszą i rozwój ościennych narodów. Ale co innego jest pewnym przedmiotem posługiwać się, a co innego w badaniu go wyczerpywać, jak tego wymagają ogłoszone warunki; skutkiem czego konkurs już nie jedno obejmuje zadanie do rozprawy, ale sześć oddzielnych, wymagających do rozwiązania niepospolitych zdolności, pracy, czasu i nauki.

Nie przeczę, że każde z tych zadań ma wielką ważność naukową, ale dlaczego rozbiór ich ma koniecznie poprzedzać główne, do konkursu przedstawione; tego nie widzę dostatecznie usprawiedliwionem. Czyż bowiem wynalezienie środka ukrócenia pijaństwa, bez ubytku dochodów z gorzelni i propinacji, jest tak łatwą rzeczą, że wykrycie jego trzeba aż utrudnić oddzielnemi warunkami? Czy nagroda czterech tysięcy złotych polskich byłaby zawielką dla pracownika, coby siłą swego umysłu wykrył tyle pożądany środek, dający gospodarstwu wiejskiemu nowy rodzaj przemysłu, zastępujący produkcję wódki, i tym sposobem wpływający na zniszczenie wynikającéj ztąd demoralizacji?

Zdaje mi się że nie; a jeżeli rozprawa ma być dobrze opracowana, to piszący będzie musiał sięgnąć i do przeszłości naszéj, i do rozwoju społecznego ościennych krajów, bo tylko tym sposobem zdoła poprzeć przedstawione przez siebie rozumowania, i nadać im cechę uzasadnioną i przekonywającą. Ale zrobi to o tyle, o ile wymagać tego będzie zakres jego pracy, a nie sam przedmiot, do którego zmuszony będzie się odwołać; a to ogromną stanowi różnicę.

Z tych więc powodów, sądzę, że zacna myśl Hrabiów Zamoyskich nie przyniesie pożądanego skutku, i że byłoby praktyczniéj, warunki konkursu rozdzielić na sześć oddzielnych zadań, i oddać je do wypracowania wyznaczonym przez Redakcję osobom, które pod światłym kierunkiem p. Stawiskiego, pracy téj dokonałyby zapewne z korzyścią dla kraju. Inaczéj konkurs przeciągnie się do nieskończoności, kraj nic z niego nie skorzysta, a dar Hrabiów Zamoyskich pozostanie martwym, powiększając się tylko dokładanym do niego procentem.— Daj Boże, abym fałszywym był prorokiem!

Z Wołynia pani Teresa R... obdarzyła nas bardzo interesującém pismem, za co serdecznie jesteśmy wdzięczni. Ale z powodów rozmaitych podam z niego niektóre tylko szczegóły.

„Obecnie nasze położenie z ludem—pisze pani R...—jest trochę drażliwém. Ci tylko, których postępowanie dawniéj było sprawiedliwe i ojcowskie, dziś, w obec zmian, czują zawsze swą wyższość moralną i godność pana, dziedzica i obywatela. Stosunki zaś z ludem nigdy nie mogą być zerwane, bo podstawą zobopólnéj pomyślności jest wzajemna wiara i ufność, których nie zyskamy, nie przekonawszy pierwéj wieśniaka o naszéj bezinteresowności.

Daj mu rękę—on ojców twoich winy zmaże,
Daj mu serce—a sercu twemu spokój wróci;
Daj mu światło—on tobie drogę prawdy wskaże,
Daj mu chléb—on ci chwasty z twéj ziemi wyrzuci.“

Serdeczne to słowo oby przebiegło wszystkie ziemi naszéj zakątki.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

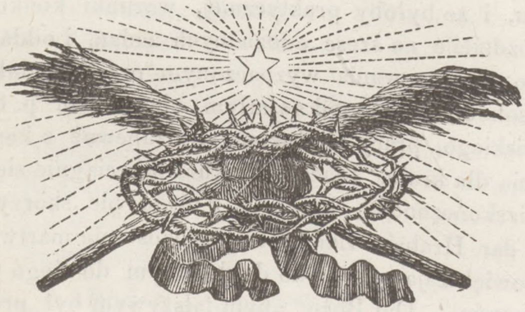
Wyszedł Numer 26 *Przyjaciela Zdrowia*, i zawiera: Uwagi hygieniczne nad stanem zdrowia mieszkańców wsi i miast.—Środki przeciw solite-

rowi, glizdom i wijcom.—O szczepieniu ospy owczéj.—O pyrofosfacie żelaza.—O wielkiéj chorobie.—O wpływie światła księżyca na nasz organizm.—O wpływie światła na nasz organizm za pośrednictwem oczów.—O dziele Dra K. Świderskiego.

SZARADA.

Ona się *pierwsze, drugie*—sługa *trzecia* Panie!
Zniża z pokorą przed Twym majestatem;
Dozwól, aby jéj wszystka znalazła uznanie,
Ofiarą była—za nią, i za światem.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Klejnot**).



W przeszłym numerze Tygodnika mówiliśmy o pięknéj wyprawie z magazynu panien Kuhnke, dziś dodamy o ślubnéj sukni, która wtedy nie była jeszcze gotową.

Suknia ta muszlinowa biała, bardzo klarowna i cienka, miała u dołu wolant szeroki na pół łokcia, z obrębem; nad wolantem szła falbanka, a nad nią woda z wypuszczonemi główkami. Woda ta wraz z falbanką zawracała się od tyłu po bokach spódniczki, i przechodziła do stanika dwa razy z każdéj strony. Stanik marszczony, wysoki, garnirowany był u szyi wązką walansienką. Szarfa jedwabna otaczała go i spadała z tyłu. Rękawy były podwójne: jedne płaskie, ogarnirowane walansienką u ręki; drugie szerokie, otwarte, przybrane falbanką i wodą. Na głowę miał iść okrągły welon tarlatanowy, i wianeczek z kwiatu pomarańczowego wraz z mirtem.

Ubiorek do oczepin bardzo ładny, składał się z rulonu aksamitnego czarnego, otoczonego białą illuzją brylantową. Z tyłu spadały dwa długie, prawie dwułokciowe końce, przytwierdzone kokardą czarną aksamitną z końcami i bukiecikiem z białych róż bez liści. Diadem z takichże róż i z liści czarnych koronkowych, zdobił ubranie z przodu. Liście takie koronkowe stanowią tegoroczną nowość i prześlicznie wyglądają, zwłaszcza przy illuzji.

Ranne ubranie do téjże wyprawy składało się z popelinowéj popielatéj spódniczki i krótkiego paletocika. Spódniczka naszyta była u dołu w wielkie zęby greckie szeroką wstążką czarna, Nr. 12; po obu stronach szła wązka wstążeczka na palec. Paletocik krótki, zwany *saute en barque*, spięty na czarne szmuklerskie guziki, miał u dołu zęby odpowiednie. U góry naszycie ze wstążki tworzyło niby wielki kołnierz. Rękawy miały mankiet stosownie przybrany. Po bokach szły kieszonki naszyte wstążką.

Ładny był także czepeczek ranny batystowy, okrągły, w rodzaju chłopki, ogarnirowany takąż falbaneczką z wązką koronką u brzega. Falbaneczka dana dwa razy, ale odwrócona, dzieliła się haftowaną wszywką. Nad czołem szła kokarda z batystu, z koroneczką na brzegu. Takież końce służyły do wiązania.

W tymże magazynie zwróciły uwagę naszą dwie suknie, przeznaczone dla panienki. Jedna czarna mantynowa, z gładką zupełnie spódniczką, miała stanik wysoki, spięty na wypukłe guziki rogowe. Główną jego ozdobę stanowił pasek w nowym zupełnie rodzaju, zwany *à revers*, czyli z wyłożeniem. Pasek ten rozchodzi się z przodu i tworzy jakby dwa zęby wyłożone w górę na stanik, ogarnirowane wstążeczką fałdowaną i trzema rzędami wązkiéj aksamitki. Z tyłu pasek zwęża się coraz bardziéj, i konczy węzłem z długiemi końcami, naszytemi trzy razy u dołu szeroką aksamitką. Rękawy do téj sukni ścięte od łokcia, miały mankiet wyłożony w ząb, ogarnirowany wstążeczką i trzema rzędami aksamitki.

Druga suknia czarna bareżowa miała u dołu trzy falbanki z główkami, przeszyte wązką wstążką Nr. 4. Stanik marszczony krzyżowany, dany był na jedwabnéj wyciętéj podszewce, ogarnirowany w górze koroneczką. Rękawy złożone z czterech buf i zamknięte u ręki, tak samo się kończyły.

W magazynie pana Sobolewskiego znajdują się rozmaite drobne przedmioty, służące do dopełnienia ubrania, zalecające się dobrym gustem i umiarkowaną ceną. Z pomiędzy nich zasługują na wzmiankę ładne diademy do siatek, które można także nosić do gołéj głowy, lub do koronkowych fanszoników. Taki diadem, zwany *à la Marie Stuart*, w kształcie czółka, z zębem zwróconym do góry, naszyty wielkiemi perełkami lawowemi, kosztuje złp. 22. Aksamitnych z wrzosem dostanie po złp. 18. W téjże saméj cenie są diademy złożone z koronki i kwiatów aksamitnych, przepięte w środku lawowym motylem. Najtańsze, z koronki mieszanéj ze wstążką, wypadają tylko na złp. 10.

Uważaliśmy téż ładny pas aksamitny czarny bez szarfy, zakończony z tyłu karoczkiem; pasy szwaj-

carskie z odwróconym bawetem i szerokiemi końcami, naszytemi u dołu szeroką gipiurą i frendzlą.

Zgrabnych fartuszków z mory lub rypsu jedwabnego, dostać można zacząwszy od złp. 40.

Kamaszyki z lakierowanéj skóry dla osób dorosłych, które niedawno kosztowały złp. 10, zniżone zostały do złp. 5.

Z pomiędzy płaszczyków podobała nam się bardzo węgierka, obszyta wkoło czarnym futrem (kasztankami) i szamerowana bogato pasmanterją, z pelerynką w kształcie chusteczki.

Ładny też był paletocik popielaty z tkaniny wełnianéj, w rodzaju siwego baranka, z kołnierzem aksamitnym i takiemiż wyłogami u rękawów. Spinał się na guziki lawowe czarne z srebrną obwódką.

Zalęcamy także chłopki tarlatanowe, bardzo świeże i gustowne, w cenie złp. 15.

Na zakończenie powiemy jeszcze o kilku ślicznych ubiorkach na głowę z magazynu pani Klementyny.

Jeden z nich czepeczek zwany *Turkos*, z czarnego tiulu jedwabnego w muszki, mocno przedłużony z tyłu, kończył się czarnym koronkowym kwastem, który można było podpiąć lub spuścić według woli. Nad czołem szedł diadem z koronki, przepiętéj w środku bukiecikiem z czarnych jagód. Od diademu spadały trzy końce na wierzch czepeczka.

Inny czepeczek biały, z diademem z buldeneżu bez liści, mógł służyć do oczepin. Na warkocz spadała kokarda z barbki blondynowéj, przytwierdzona odpowiednim bukiecikiem.

Ładna też była siatka szmuklerska czarna z białém. Diadem składał się z białéj wstążki, ułożonéj w kontrafałdy, ogarnirowanéj brzegiem czarną wstążeczką. Cena téj siatki złp. 33.

Inna siatka z grubego jedwabiu, przeszywana pęczkami perełek czarnych, miała diadem układany w pukielki, z aksamitki z białym brzegiem. Cena złp. 33; sama siatka kosztuje złp. 10.

Trzecia także z jedwabiu, przerabiana perełkami, ogarnirowana w kontrafałdy koronką i materją, wypada na złp. 26 gr. 20.

W tymże magazynie uważaliśmy piękne biżuterje stalowe. Cały garnitur składa się z broszy, klamerki i kolczyków; cena ich rozmaita, stosownie do wyrobu. Łańcuszków stalowych do zegarków dostać można od złp. 13. Wielki jest też zbiór rozmaitych biżuteryj lawowych, jak: grzebieni i grzebyków, broszek i kolczyków z wisiorkami.

Nowości Zagraniczne.

Journal des jeunes personnes.—Suknie w ogólności noszą dziś bez przesadzonych ozdób, lecz długie i szerokie. Aby im nadać większą szerokość, ścinają je po bokach, i klin odcięty od góry obracają do dołu. Całe ubranie spódniczki stanowi wązka fałdowana falbanka, objęta plecionką szmuklerską, u góry zaś na główce wystrzyżona w maszynie w ząbki. Takie falbanki dają zarówno do wełnianych, jak do jedwabnych sukien.

Staniki robią z baskiną, ale więcéj widzieć ich można z krótkim bawecikiem, lub do paska. Rękawy używane dwojakie, albo ścięte od łokcia, wązkie jak u paletotów męzkich, lub też szerokie u góry, a u ręki wązko obciśnięte, *à la gigot.*

Pomiędzy kapeluszami uważaliśmy pluszowe, bardzo stosowne dla młodych panienek.

Pod wązkie teraźniejsze rękawy wymyślono nowy rodzaj rękawków, krajanych ukośno w odpowiedniéj do rękawa formie. U ręki idzie mankiet z potrójnego płótna, taki zupełnie jak u koszul męzkich, spięty na podwójne guziki.

Kołnierzyki webowe, zwane *Cavalier*, najmodniejsze w tym roku. Są one z tyłu wązkie, proste i stojące, z przodu rozszerzone znacznie i odwinięte. Niektóre z nich haftują dokoła w wązki szlaczek.

Suknie fularowe używane są powszechnie mimo zimy.

Spódniczki pod suknie z mory angielskiéj czarnéj, stanowią dziś konieczne dopełnienie ubrania. Wiele także widać jedwabnych, pikowanych w maszynie. Pod krynolinę noszą najwięcéj spódnic z flaneli popielatéj, wyszytéj w deseń grecki aksamitką.

Journal des dames et des demoiselles.—Przytaczamy tu ładne ubranie dla młodéj panienki.

Suknia organtynowa biała; u dołu trzy falbanki z główką, szerokości 10 centymetrów, oddalone od siebie o dwa palce. Nad niemi idzie wszywka z koronki czarnéj *Cambrai*, objęta z obu stron aksamitką czarną Nr. 8, i wązkim brzeżkiem koronkowym. Szarfa organtynowa, ogarnirowana takąż wszywką z aksamitką i brzeżkiem; z końcami z tyłu spadającemi. Staniczek gładki, wycięty, na to chusteczka organtynowa, zakończona u szyi ruszką, wkoło falbanką białą i czarną wszywką, taką samą jak u spódnicy. Na głowę bukiecik z białych fijołków, przytwierdzony nad czołem do drucika; z tyłu nad warkoczem takiż bukiecik; z pod niego spadają końce z aksamitki i wszywki koronkowéj.

Les modes Parisiennes.—Do nowości tegorocznych należą krótkie, watowane paletoty pluszowe,

przybrane wkoło wązką pasmanterją. Epolety z kwastami stanowią ich główną ozdobę. Takież kwasty dane są u rękawów i na kieszonkach.

Opis deseni do haftu.

Nr. 1. Kołnierzyk *Impératrice*, z plecionki gipiurowéj. Deseń wyrysowany na czystym papierze, naszywa się rzadkim ściegiem plecionką gipiurową, i następnie cienkiemi nićmi spajają się oczka stykające się z sobą. Po spojeniu oczek fastrygi się wyciągają, i kołnierzyk zupełnie skończony. Tym samym fasonem prześliczne kołnierzyki z gipiury irlandzkiéj, kosztują od 40 do 100 złp.—Nr. 2. Mankiet.—Nr. 3. Narożnik do chustki od nosa.—Nr. 4 Litery do znaczenia bielizny.—Nr. 5 i 6. Kołnierzyk składający się z dwóch części. Koniec spiczasty zachodzi do przodu.—Nr. 7. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami, tak zwany *col-collin*. Rogi robią się z dubeltowéj cienkiéj weby, albo perkalu, kołnierzyk zaś z potrójnego płótna.—Nr. 8. Mankiet.—Nr. 9. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami, złożony z trzech części.—Nr. 10. Kołnierzyk marynarski.—Nr. 11. Mankiet z podwójnéj weby, zapinający się na lawowe spinki.– Nr. 12. Suknia ze stanikiem *en postillon*.—Nr. 13. Całość téj saméj sukni z przodu.—Nr. 14 i 15. Desenie na falbanki.—Nr. 16. Litery *P. S.* do znaczenia poszewek.—Nr. 17. Narożnik do chustki od nosa.—Nr. 18. Wzór plecionki białéj do zrobienia kołnierzyka, oznaczonego Nrem 1.

Opis formy stanika postyljońskiego.

Nr. 1. Przednia część stanika, zapinająca się na czarne rogowe guziki. Deseń na staniku, rękawach i sukni wyszywa się sutaszem albo aksamitką. — Nr. 2. Boczek z karoczkiem, tworzący baskinę postyljońską.—Nr. 3. Plecy z karoczkiem. — Nr. 4. Rękaw złożony z dwóch części.—Nr. 5. Wyłożenie rękawa, czyli mankiet.—Nr. 6. Pasek, który się oddzielnie kładzie i zapina w tyle pod karoczkiem. Podszewka daje się ze sztywnego muszlinu i materji; w baweciki wciągnąć trzeba fiszbiny.—Nr. 7. Deseń do dołu sukni.—Nr. 8. Mankiet złożony z dwóch części, do kołnierzyka znajdującego się pod Nrem 5 i 6.—Nr. 9. Litery do znaczenia bielizny.

DONIESIENIA.

KORRESPONDENCJA.

Pani Te. Obry...—Przesyłka pocztowa od książki i nasion kwiatowych, wynosi złp. 2 gr. 8.— —Pani Ste. Kaczau... za chustki pozostała nam winna złp. 10 gr. 16.— —Pani Ale. Ostrzy...—Do sprawunków dołożyliśmy złp. 1 gr. 22.

Do dzisiejszego numeru dołączają się desenie do haftu, oraz forma stanika postyljońskiego, Nr. 77.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 4 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 24 Stycznia 1863 roku. *12 Stycznia.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.

Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

— Tak jest, to portret mojego męża. A to mój własny! — wskazała na wiszący obok tamtego, przedstawiający kobietę piękną w sukni błękitnéj, z króciutkim stanikiem, wyciętéj głęboko koło szyi, z rękawkami krótkiemi i z włosami ułożonemi w pukle po nad czołem.

— Oby wnuczki były do pani marszałkowéj dobrodziejki podobne!

— Anna do matki, ale nieco i do ojca jest podobną.

— A ś. p. pan Wincenty miał rysy pani marszałkowéj.

— Smutno, mecenasie, smutno jest i żałośnie patrzéć się na minione szczęście! — westchnęła ciężko i potoczyła wzrokiem po starych obrazach.— Co to było!... A teraz?

— Będzie znowu lepiéj!

— Ale, powiedzmy, że to niekiedy rosa oczy wygryzie, zanim słońce wejdzie. Mecenasie, przyspiesz dźwignięcie się nasze! — wyciągnęła ku niemu ręką, którą z oznaką głębokiego uszanowania do ust przycisnął.

— Gdyby co rychléj podnieść można te 300,000 na Kierejach! Byłby to ratunek, mecenasie.

— Zapewne. I to się zrobi, ale jeszcze nie tak prędko: tam wszystko opieszale idzie.

— Boże, mój Boże!

Lokaj wniósł samowar, a panna służąca kryształową puszkę z herbatą.

W tym czasie pani Wincentowa Jarosławska zarządziwszy co do herbaty i wieczerzę, weszła do niedużego pokoiku od ogrodu, białego, czyściutkiego. Okno weneckie z muślinową firanką wieńczyły upłoty bluszczowe, zielony parawan zasłaniał łóżko. Na ścianie wisiał olejny obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj. W jednym rogu stała skromna gotowalnia ze zwierciadłem w czarnych ramach; w drugim sekretarka, a obok na półce kilka leżało książek.

Pod oknem, przy stoliku siedziała Anna, ubrana w czarny szlafroczek i czepeczek biały. Składna, wiotka postać wsparła się z unużenia na poręczy krzesła; lica jéj lekka przysłaniała bladość. Ładny profil odznaczał się wdzięcznie w półjaśni; z pod czepeczka spuszczały się przy licu dwa niemal czarne, lśniące, z miękkiego włosa warkocze; oczy wielkie, ciemne, pełne głębi, w pięknéj oprawie, z brwią wyraziście narysowaną, dziwnie lubego wejrzenia, zwracała na młodszą siostrzyczkę, piszącą obok przy stoliku; usta jéj wązkie, rumiane, słodki otaczał uśmiech. Przed nią stała skrzyneczka z robotą.

Julka była dziewczątkiem z okrągłą twarzyczką biało-rumianą; z oczętami niebieskiemi i płowemi warkoczykami.

— Kochana mateczka przychodzi do nas! — zawołała Anna, i wdzięczniejszy jeszcze wyraz rysy jéj rozjaśnił; — a przecież są goście! — podniosła się nieco, ujęła rękę matki i przycisnęła ją do ust.

— Przyszłam zobaczyć co porabiasz: czy feberka nie wraca? — i pani Jarosławska usiadła opodal na kanapce, powleczonéj tkanką zieloną, wełnianą.

— Nie, mateczko kochana. — odrzekła Anna,— jest mi dobrze zupełnie.

— Ale męczysz się z Julką, potrzeba jéj było dać dziś rekreacją.

— To jest rozrywką dla mnie: nie mogę haftować, nie mogę czytać.

— Powinnaś wypocząć.

— Gdy gość odjedzie, to pójdziemy na gawędkę do babuni.

Na wspomnienie gościa pani Jarosławska pomimowolnie westchnęła.

— Co to mamie kochanéj? — zapytała córka,

pochylając się ku matce z wyrazem obawy i współczucia.

— Nic, moje dziecię.

— Czy ten pan mecenas nie przywiózł jakich wiadomości niepomyślnych?

— Och, nie! — i pani Jarosławska poczęła mówić o postępach Julki, bawiąc z przyjemnością serdeczną w tym cichym pokoiku, jak gdyby u swoich dzieweczek kochanych odwagi i pociechy na przyszłe dole zaczerpnąć pragnęła. I długą tak posiedziała chwilę, dopóki jéj Marysia, raźna, wiejska dziewucha, nie oznajmiła, że panna Zydlewska już naparzyła herbatę, a była to zwykła czynność Anny.

Pan mecenas odjechał, i obie panie, matka i synowa, ukołysały się w spokoju domowym: pierwsza żyła już myślą w przyszłéj, lepszéj doli, drugą niekiedy jeszcze przejmowała trwoga; lecz zwolna, nawykła zawsze niewłasną rządzić się wolą, to i poprzestawała na zdaniu matki, i pocieszała się nadzieją.

Nadeszła słotna jesień, długie wieczory; wreszcie zima, karnawał, a wszystkie chwile jednostajnie w Mrowinie płynęły. Bo sędziwy proboszcz niemal jedynym tylko bywał gościem; poczciwy, zacny, nie potrafił wszelako małego ożywić grona. Pani marszałkowa ubolewała, że Anna jest pozbawioną przynależnych młodemu wiekowi zabaw i rozrywek; ubolewała, że jéj na wielki świat Warszawy zawieść nie może; lecz ani jéj w myśli postało, że panna mogłaby się także i na wsi w sąsiedztwie zabawić. Były tam dwa domy: państwa Mąkowiczów w Słupicach i państwa Żuryńskich w Grodlu, ale babka uważała tamte towarzystwa jako nieodpowiednie dla wnuczki swojéj. A jakkolwiek pani Wincentowa Jarosławska byłaby chętnie z temi żyła domami, to stosując się ze zwykłą sobie powolnością do życzeń matki, bywała z córkami zaledwie dwa razy do roku w Grodlu i Słupicach. To też państwo Mąkowiczowie i Żuryńscy tyleż razy tylko odwiedzali Mrowin. Niekiedy jeszcze spotykano się w kościele, albo w miasteczku za sprawunkami, i na tém kończyło się wszystko. Byliby się zapewne i starający o rękę Anny znaleźli, która w całéj okolicy, i odleglejszéj nawet, stała się przedmiotem wielce zajmującym dla młodzieży. Lecz odstręczała duma babki, i to *jakieś napiętrzenie się* niewłaściwe obok niknącéj fortuny. Upokarzało sąsiadów to odstrychnięcie się Mrowina od sąsiedztwa, a drażniło młodzież to *coś*, czém niby uczuć im dano, że tam dla nich zawysokie są progi. Pani Wincentowa utyskiwała w duszy nad temi okolicznościami, wzdychała w głębi serca macierzyńskiego, ale zaradzić temu nie wjéj było mocy. Zdarzało się, że panie z Mrowina były zaproszone na imieniny do Słupic albo Grodla, a zjeżdżało się tam zwykle dużo osób, i młodzież tańczyła aż do dnia białego; pani Wincentowa byłaby chętnie pojechała z Anną, i serce młodéj dziewczyny aż podskoczyło, babce wszelako i wspomnieć o tém nie można było. Może właśnie dlatego, że zjazd był liczny, że zawiele narobiłaby znajomości, że tam bywali i młodzi, którzy mogliby do *jakichsi* posunać się *pretensyj*. A nużby też Annie spodobał się który?!...

Gdy państwo Mąkowiczowie lub Żuryńscy zawitali kiedy do Mrowina, pani marszałkowa z wyszukaną przyjmowała ich grzecznościa, bo tak jéj wskazywało wychowanie dobre i wrodzona życzliwość, zwichnięta tylko jakiemiś wielko-światowemi względami, wyobrażeniami skrzywionemi, a raczéj przesądami, w których wzrosła, i które dla niéj drugą stały się naturą.

Ś. p. Wincenty Jarosławski, póki mu zdrowie służyło, więcéj udzielał się sąsiadom: żył z niemi na szczeréj, otwartéj stopie, niósł każdemu z rozkoszą usłużność przyjazną, i był wielce lubionym. Matka wszelako synowę zawsze od częstszych wstrzymywała odwiedzin i udzielania się sąsiadom. Nie wzbraniała jéj wprost tego, ale tak wszystko zręcznie nakręcić umiała, że zawsze *jakieś* znalazły się przeszkody. Poznawała się na tém pani Wincentowa dobrze, lecz ulegała. Po śmierci syna pani marszałkowa wyraźniéj objawiała swoje widzenie rzeczy i swoją wolę, bo syn oponował jéj zwykle, przedstawiał, brał rzeczy na szalę rozsądku, sprawiedliwości i uznania, a dzisiaj nikt już nie stawiał jéj oporu. I tym trybem jednostajnym a niekorzystnym wszystko wlokło się daléj.

Anna byłaby chętnie zabawiła się czasem, jak zwyczajnie każda młoda dziewczyna, ale nie tęskniła za tém i nie smuciła się wcale, gdy zaprosinom odmówiono w sąsiedztwie. Umiała czas swój zapełnić muzyką, robotą, rysunkiem, pouczaniem Julki i czytaniem. Nawet i długie wieczory nie stawały się dla niéj długiemi: czytywała głośno babce i matce, albo też słuchała opowiadań babki z czasów Prus południowych i Księztwa Warszawskiego, o przejściach Francuzów, o hołdach składanych jéj przez marszałków Napoleńskich, o bytności Cesarza w Warszawie, o pięknym a rycerskim Księciu Józefie Poniatowskim; o balach, strojach, festynach i awanturkach różnych; o życiu warszawskiém i na prowincji po roku 1815, i tylu, tylu pełnych zajęcia wypadkach. A babka zawsze jeszcze coś sobie przypomniała nowego, i każde więcéj głośne nazwisko, każda wzmianka o tych czasach zawsze świeże wywoływała wspomnienia.

W końcu Stycznia doskonała usłała się sanna. Panienki byłyby się z matką chętnie przejechały do Grodla albo Słupic, gdy wieść doleciała do Mrowina, że u państwa Żuryńskich bawi jakiś kuzyn z Augustowskiego, młody, przystojny, który w kościele widział pannę Annę, i że spodobała mu się bardzo. A zatém był to dostateczny powód, ażeby babka wszelkie z tamtemi domami tamowała styczności. Słyszano o polowaniach, o zjeżdżaniu się sąsiadów raz w Słupicach, to znowu w Grodlu, i że tam bawią się wybornie.

Dnia jednego siedziały panie nad robotą przy ogniu kominkowym w salonie, a Julka czytała głośno *Pamiętniki o Syberji* Ewy Felińskiéj; gdy na raz jeden zabrzękły dzwonki i gruchawki.

Julka spojrzała w okno i z radością zawołała:

— Goście jadą!

A gość tak rzadkiém był zjawieniem.

— To pani Żuryńska! — dodała Anna, gdy sanki zatrzymały się przede dworem, i pobiegła na jéj powitanie, a za nią i matka.

Nastąpiły uściskania przed domem w przedpokoju, i zapytania różne, bo sąsiadki nie widziały się już od miesięcy kilku. Anna pomogła opakowanéj pani, tłustéj, rumianéj, wesołéj kobiecinie zdjąć futro, kapotkę, tartan i ściągnąć ogromne *babosze*. A pani domu wprowadziła ją do matki.

Pani marszałkowa posunęła się do drzwi, obiedwie ku niéj wyciągając ręce; uścisnęła ją przyjaźno i pytała o zdrowie i powodzenie męża i dziatek. Prosiła, by łaskawa sąsiadka wyprządz pozwoliła; pani Zuryńska opierała się niby téż-to, ale w końcu zezwoliła.

Anna przysunęła jéj fotel, a Julka ławeczkę pod nogi, bo szczerze rade były gościowi. Za co jedna i druga kilka pochlebnych zyskała wyrazów. Poczém starsza z panien wybiegła zarządzić, by kawa była gorąca i dobrze zrobiono grzaneczki. Gdy znowu powróciła do pokoju, spojrzała na nią pani Żuryńska z przyjaznym szczególniéj wyrazem, i pochylając się ku babce jéj i matce, przemówiła z uśmiechem:

— Przybyłam ja z wielką prośbą do pań łaskawych...

— A co tam rozkaże kochana pani? — zapytała pani marszałkowa uprzejmie

— Za tydzień będzie u nas wieczorek z tańcami, przybędzie i par kilka w ubiorach krakowskich...

— Kulig?

— Tak sobie, mały kulig.... a najszanowniejsze panie zobowiązałyby nas niezmiernie, przyjmując zaproszenie nasze. Panna Anna — dodała zwracając się ku niéj — zabawiłaby się trochę.

— Bardzośmy wdzięczne łaskawéj sąsiadce, — zabrała głos pani marszałkowa, gdy synowa jéj raz na nią, raz na zapłonioną spojrzała córkę, i wyrazem twarzy jawiła życzenie, by świekra zaproszenie przyjęła; — bardzośmy wdzięczne łaskawéj sąsiadce, że o nas pamięta. Co do mojéj osoby, to już wybaczycie państwo dobrodziejstwo, że się nie stawię: nie wyjeżdżam w zimie i na krok jeden, ale synowa moja i wnuczka zapewne chętnie służyć będą.

Pani Żuryńska uścisnęła panią marszałkowę na podziękowanie, i z wyrazem radości podała rękę matce i córce.

Anna aż niby zakwitła nadzieją kuligowéj zabawy. Pani Wincentowa wszelako niezupełnie ją podzielała, znając już lepiéj matkę mężowską.

W dalszym ciągu rozmowy wypowiedziała pani Żuryńska, że przybył do nich na parę tygodni kuzyn jéj męża, mający ładną wioskę w Augustowskiém, bardzo zacny, gospodarny i miły chłopiec.

— Jak się nazywa? — zapytała marszałkowa niby nieco schmurzona.

— Pan Ignacy Żołędzki.

— A, Żołędzki.... no.... a co tam porabiają państwo w Słupicach? — i rozmowa odrazu na inne przeszła pole.

Po herbacie odjechała pani Żuryńska. A gdy Anna z matką, wyprowadziwszy ją, znowu do pokoju wróciły, zanim jeszcze przedźwiękły dzwonki na dziedzińcu, już pani marszałkowa wyrzekła:

— Ot *pretensja*, ażebyście tam *gdzieś* na *jakieś* kuligi jeździły!

Z lica pani Wincentowéj uśmiech nagle uleciał. Anna niby zlekka pobladła.

— Anka zabawiłaby się, — wtrąciła matka.

— Zabawi się jeszcze inaczéj, a nie tak,—i babka ramionami ruszyła.

— Potańczyłaby trochę, nie zabawiłybyśmy długo! — odważyła się pani Wincentowa raz jeszcze.

— At, chciałabyś!... Nie, nie, to nie idzie! Nie odmówiłam z góry, by za dobre chęci nie obrazić, ale nic z tego być nie może. Na przyszłą zimę pojedziemy do Warszawy, to panna inny świat pozna, jak na kuligu w Grodlu. Nie prawdaż, Aneczko? — i wyciągnęła ku niéj rękę, którą wnuczka ucałowała. Babka przycisnęła głowę jéj do piersi, i o zabawie u państwa Żuryńskich tego wieczora już więcéj nie mówiono. Pomarzyła wszelako o niéj Anna, i żal jéj było, że babka taki wyrok wydała.

Później przemówił tam jeszcze słów kilka poczciwy proboszcz w tym przedmiocie, ale pani Wincentowa skinęła zaraz na niego, by nie podrażnić matki. I w przeddzień wieczorku w Grodlu napisała do pani Żuryńskiéj, przepraszając, że z uprzejmego zaproszenia z wielkim swoim, a większym

jeszcze żalem Anny korzystać nie może, bo mama, pani marszałkowa, od dni paru jest cierpiącą, przeto jéj saméj w domu zostawić nie mogą.

W Grodlu aż nadto dobrze zrozumieli rzecz całą, i serdecznie ztąd byli markotni. Pani Żuryńska nie odpisała wcale, i tylko kłaniać się kazała. Odtąd więcéj jeszcze oziębiły się stosunki sąsiedztwa. A lubo, że pani Wincentowa Jarosławska w parę tygodni potém z córką pooddawały wizyty tak w Grodlu, jak w Słupicach, to wszelako chłodny ten stosunek i nadal pozostał.

2.

Kto nieprawnie mienie wdowy lub sieroty zagrabi, wprowadza ogień we wnętrzności swoje, a kiedyś od gorącego płomienia pochłonion będzie.

Al-Koran.

Remember!

Ostatni wyraz Karola I na rusztowaniu.

Drobniuchne młodéj zieleni listki pokryły drzewa i krzewy mrowińskiego ogrodu; trawy miękkim rozesłały się kobiercem, fijołki wonne wychyliły główki; wszystko majowém wabiło tchnieniem.

Bliżéj dworu świeżo skopana ziemia, podzielona w różnokształtne zagonki, przedeptane regularnie, obłożona darnią, odznaczała się ciemno przy krzakach posadzonych na środku.

Poranek był cudny, pełen woni, świeżości, ożywiony świegotem szarych śpiewaków bożych, strzepujących na gałęziach zroszone skrzydełka. A kiedy niekiedy mieszało się do téj harmonji i pianie kogutów na dziedzińcu.

Okno weneckie, bluszczem oplecione, stało otwarte, i lekki wietrzyk zachodnio-południowy igrał swawolnie z białą, muszlinową firanką. U okien sypialni pani marszałkowéj okiennice były jeszcze zamknięte.

Ze dworu wyszła Anna w rannéj sukni, w płóciennym fartuszku i kapeluszu okrągłym słomianym, niosąc dość spory koszyk. Za nią podskakiwała Julka, w sukience sięgającéj zaledwie kostek, w bucikach skórkowych i podobnym kapeluszu jak siostra. Obiedwie świeżego lica, wdzięcznego wyrazu, pogodném spojrzeniem dzień młody witały. Starsza przykucnęła obok uprawionych zagonków, postawiła koszyk z wysadkami lewkonji, gwoździków, gladjoli i różnych innych kwiatów, i robiąc kołkiem w pulchnéj ziemi dołki, znaczyła gdzie posadzone być mają. Poczém obiedwie z Julką, pytającą się ciągle starszéj siostry o jéj zdanie, w niedługim czasie pozasadzały klombiki. A spieszyły się z tą pracą swoją, oglądając się raz po raz na zamknięte okiennice u babki, bo marszałkowa, jakkolwiek lubiła kwiaty i żądała porządku w ogrodzie, to jednakże byłaby się gniewała, że panny same tego rodzaju wykonywają robotę. Skończyły też niebawem, a gdy wstała, to już obiedwie ładnie ubrane, lubo w perkaliku tylko, siedziały przy stole, gdzie starsza jakąś szyła bieliznę, a młodsza tłómaczyła z francuzkiego.

Panna służąca zaniosła pani marszałkowéj kawę, i Anna pobiegła, by babce *dzień dobry* powiedzieć, pogawędzić z nią, rozweselić babkę, być jéj pomocną przy ubieraniu, w napisaniu listu jakiego, w przeczytaniu czegoś, lub tym podobnych czynnościach.

— Cóż porabia mama? Wczoraj narzekała na ból głowy, — wymówiła babka zasiadając do śniadania.

— Mamie dziś lepiéj: obiega gospodarstwo, — odrzekła Anna, podając babce bułeczkę, którą zrobionèm co tylko nasmarowała masłem.

— Biedna, męczy i dręczy się ciągle. No, przecież da Bóg, że wkrótce lepiéj będzie.

Anna otworzyła okno, i orzeźwiający powiew przewonionym potokiem do pokoju wpłynął.

— Och, jak cudnie jest na bożym świecie! — zawołała, sięgając dalekim wzrokiem zielone łąki, zamglone zlekka rosą poranną; pola podzielone na różne obszary, z których każdy zbarwił się inaczéj; na lasy pograniczne, tworzące niby krawędź obrazu rozpostartego pod jasnym błękitem.

Anna postała tak chwilę, podumała, zamarzyła sama nie wiedząc o czém; a potém uśmiechnięta. na stołeczku u nóg babki usiadła i coś jéj tam opowiadać zaczęła.

Wtém zaturkotało przede dworem, a Marysia weszła i oznajmiła, że goście przyjechali.

— Jacy goście? — zapytała pani marszałkowa.

— Proszę jaśnie pani, panowie jacyś, trzech czy czterech.

— Tak rychło? — zdziwiła się. — Anko, któż to być może?

— Nie wiem, babciu; — młoda dziewczyna podniosła się i do okna w pierwszym pokoju pobiegła.

Koczyk i jakaś bryczka odjeżdżały właśnie ku stajniom; to ją więcéj jeszcze zdziwiło, a raczéj zatrwożyło, lubo że sama sobie z doznanego wrażenia sprawy zdać nie umiała.

— No i co? — zapytała wracającéj babka.

— Nic nie wiem i nie pojmuję.

— Zbladłaś, cóż tobie?

— Nic, babciu kochana. (d. c. n.)
